

Rzeczpospolita. 11 03 2006

DIAGNOZY

Wojna o historię

Po co nam polityka historyczna? Sądząc po reakcjach publicystycznych - po nic. Jedni utożsamiają ją z propagowaniem nacjonalizmu i wskazują na niebezpieczeństwo "patriotycznego kiczu". Inni nie ufają "projektantom nowej polityki historycznej, którzy chcą wzmocnić narodową krzepę Polaków poprzez robienie im wody z mózgu"

Większość tych opinii fundowana jest na zadawnionych zadrach i lękach sprzed dziesięcioleci. Pewną rolę grają również aktualne polityczne sympatie, a raczej antypatie. Ale odmawianie polityce historycznej racji bytu jest zabiegiem nonsensownym i niebezpiecznym - likwiduje debatę nad jej kształtem. Wojna, jaką jej wypowiedziano, przypomina oburzenie, które mógł odczuwać Molierowski pan Jourdain, gdy uświadomiono mu, że mówi prozą. Polityka historyczna - nazwana lub nienazwana - istnieje. Prowadzi ją każde nowoczesne państwo. Zawsze wewnętrzną, coraz częściej skierowaną też na zewnątrz.

Jednak wyznawców niektórych ideologii przekonać do idei polityki historycznej raczej się nie uda. Dla nich historia jest wyłącznie zbędnym balastem, bo każdą wspólnotę nie pochodzącą z wyboru uznają za opresję, z której czym prędzej chcą świat wyzwolić. Nie byłoby jednak dobrze, gdyby polityka historyczna stała się zakładnikiem doraźnych opinii i preferencji ideologicznych czy politycznych, zastępczym chłopcem do bicia, dodatkowym punktem katalogu grzechów, które popełnić miałby prawicowy rząd.

Zdarza się, że historia staje się narzędziem osiągania rozmaitych celów. Tak dzieje się w reżimach totalitarnych. W społeczeństwach ludzi wolnych, gdzie nie istnieje cenzura, niebezpieczeństwo kryje się gdzie indziej: w intelektualnych modach oraz w obrazach narzuconych przez kulturę masową i tworzone przez nią schematy i stereotypy.

Zepsute dzieci relatywizmu

Jak w przypadku fizyki, literatury czy matematyki, obowiązkiem państwa jest ustalenie kanonu programów szkolnych nauczania historii i kontrolowanie rzetelności przekazywanych informacji. I już samo to jest polityką historyczną. Jest nią też wybór daty świąt narodowych, godła, sztandaru czy hymnu. Te symbole organizują wspólną pamięć wokół mitów założycielskich i faktów uznanych za jednoczące. Bo bez wspólnej pamięci i wspólnych symboli wspólnota istnieć przestaje lub zaistnieć nie może.

Régis Debray, historyk idei, który walczył niegdyś u boku Che Guevary, twierdzi, że deficyt symboli uniemożliwia realne zaistnienie Unii Europejskiej. Debray jest zwolennikiem idei wspólnej Europy i z tym większą żarliwością konstatuje: "Fabrykanci mechaniki instytucyjnej chcieliby mieć opcję horyzontalną bez wertykalnej: amerykańską mocarstwowość bez amerykańskiej religijności, Stany Zjednoczone Europy bez przysięgi na sztandar ojczysty, a konkurencją dla dolara miałyby być dewizy bez dewiz. Zepsute dzieci relatywizmu chcą, by spoiwo działało bez tego, co przenika; chcą mieć tkankę łączną bez podziałów, pragną tego, co "w środku", bez tego, co "ponad". Choć nazywają to dążenie "realizmem", nasi technokraci są równie odlegli od rzeczywistości jak ci nawiedzeni, którzy planują Europie "nadać duszę", zapominając, że duszy się nie nadaje ani nie produkuje, lecz się ją odnajduje".

Warunkiem wspólnej tożsamości nie jest jeden język (wszak Szwajcarzy mówią trzema językami, a czują się jednym narodem) ani wspólne prawo (to w dużej mierze w Unii istnieje), ani nawet nie jest nim wspólna waluta (aczkolwiek przekonanie o integrującej roli wspólnego pieniądza skłoniło kanclerza Kohla do rezygnacji z marki - symbolu niemieckiej potęgi). Jeśli chcemy realnego zbliżenia narodów Unii Europejskiej, musimy zadbać o wspólną pamięć wyznaczającą i objaśniającą doświadczenie bycia razem. I ani przemilczenia, ani zapomnienie nie będą receptą na dobre stosunki krajów obarczonych historią, narodów o kulturze tak starej jak europejska. Robert Traba twierdzi na łamach "Gazety Wyborczej", że "polityka historyczna wspiera się na walce z wrogiem" i oznacza "mechanizm budowania społeczeństwa na zasadzie my - przyjaciele, oni - wrogowie". Lęki te są przejawem infantylnego lub upolitycznionego myślenia o historii. Zadaniem historyka nie jest kreowanie wroga, lecz próba zrozumienia wydarzeń w całej ich złożoności. I takiej rozumiejącej, wyjaśniającej historii potrzebuje teraz Europa.

Pamięć jako przestroga

Tymczasem niewiedza naszych zachodnich partnerów o ostatnich stu latach dziejów Europy Środkowej staje się obciążeniem i przyczyną błędnych diagnoz. Sprawia, że mówimy innymi językami, nie rozumiemy się. Kilka lat temu miły Francuz kończący w Paryżu studia humanistyczne poprosił, by wyjaśnić nurtujący go problem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w czasie II wojny ruch oporu istniał w całej Europie, nawet w Niemczech, i tylko w Polsce - jeśli nie liczyć powstania w getcie - ruchu oporu nie było. Można zapytać, czy wiedza Europejczyków na temat polskiej historii ma znaczenie. Otóż ma. Bo gdyby była nieistotna, temu młodemu człowiekowi takie pytanie nie przyszłoby do głowy.

Proponuję odrzucić przerażającą i cyniczną perspektywę udziału w konkursie pod hasłem: kto więcej cierpiał. Bo nie chodzi o tworzenie martyrologicznego mitu. Polska pamięć przechowuje nie tylko doświadczenie cierpienia. Polska pamięć to przede wszystkim doświadczenie oporu wobec dwu totalitaryzmów.

Podobnie jak pamięć o zbrodniach nazizmu jest światu potrzebna jako przestroga, tak pamięć o zbrodniach komunizmu winna być ostrzeżeniem. To nie ofiary potrzebują naszej pamięci. Pamięci potrzebujemy my i nasze dzieci. By wiedzieć, że najstraszliwsze zbrodnie można popełniać w imię uszczęśliwiania ludzkości, bez większych protestów i wyrzutów sumienia, przy milczącej aprobacie świata, który patrzy, lecz nie widzi. Totalitaryzm niejedno ma imię. I nikt nam nie gwarantuje, że totalitarna pokusa już nigdy w Europie pojawić się nie może.

Żadnych wzorów

Popularne jest w Polsce zabawne w swej naiwności przekonanie, że w tzw. rozwiniętych demokracjach wszystko jest modelowo ułożone, wyjaśnione, słuszne, a nam, niedojrzałym, pozostaje tylko działać wedle modelu "kopiuj" - "wklej". Kpimy z "końca historii", a równocześnie wierzymy, że poza Polską istnieje rzeczywistość doskonała, w pełni ukształtowana, cywilizowana...

Tymczasem Europa Zachodnia stale się zmienia i weryfikuje: pewniki przyjmowane niedawno przy powszechnym aplauzie teraz są kontestowane, bo okazuje się, że powodują perwersyjne skutki.

Polscy zwolennicy polityki historycznej nie są prowincjonalnymi reprezentantami ciemnogrodu. Zarówno rewidowana przez nich wolność dostępu do źródeł historycznych, jak i nieśmiałe sugestie dotyczące afirmatywnego stosunku do dziejów wpisują się w nurt żarliwej dyskusji, jaka w tych dniach toczy się w Europie.

Nigdzie nie jest kwestionowana potrzeba edukacji historycznej. Stwierdzenie to nie oznacza jednak końca debaty, lecz wyznacza jej początek. Trzeba odpowiedzieć na pytanie o rolę państwa i mediów, ale także o gwarancje wolności. W pierwszej kolejności jednak trzeba przypomnieć, na czym polega zawód historyka i czym jest historia.

Już ponad sześćset podpisów widnieje pod tekstem petycji, w której najwybitniejsi francuscy historycy domagają się likwidacji ustaw walczących z negacjonizmem, rasizmem i antysemityzmem, uznających rzeź Ormian za ludobójstwo, a niewolnictwo za zbrodnię przeciw ludzkości. Historycy idą na wojnę z prawem, bo okazało się, że istniejące prawa prowadzą do delegalizacji debaty.

Zwięzły tekst petycji wart jest szerokiego zacytowania, gdyż przypomina kilka podstawowych zasad, o których czasem zapomina się także w Polsce.

Wolność dla historii

"Historia nie jest tożsama z religią. Historyk nie uznaje żadnych dogmatów, nie uznaje zakazów, nie zna tabu. Może być niewygodny.

Historia nie jest tożsama z moralnością - rolą historyka nie jest chwalić czy piętnować, lecz tłumaczyć.

Historia nie jest niewolnicą dnia dzisiejszego. Historyk nie stosuje współczesnych schematów ideologicznych do przeszłości i nie dopasowuje do wydarzeń minionych dzisiejszych ocen.

Historia nie jest tożsama z pamięcią. Historyk zgodnie z zasadami nauki zbiera wspomnienia ludzi, porównuje je ze sobą, konfrontuje z dokumentami, śladami materialnymi i ustala fakty. Historia nie lekceważy pamięci, lecz się do niej nie sprowadza.

Historia nie jest kategorią prawną. W państwie wolnym ustalanie prawd historycznych nie należy ani do parlamentu, ani do wymiaru sprawiedliwości. Polityka państwa, nawet płynąca z najlepszych intencji, nie jest polityką historii. (...) Ustanowiono prawa, które ograniczyły wolność historyka, mówią mu - pod groźbą kar - czego powinien szukać i co powinien znaleźć, wyznaczają metodologię i stawiają bariery. Żądamy - piszą francuscy historycy - uchylecia dyspozycji prawnych niegodnych systemu demokratycznego".

Pod tekstem petycji "Wolność dla historii" podpisali się Emmanuel Leroy-Ladurie, René Rémond, Pierre Nora, Jacques Le Goff, Élisabeth Badinter, Marcel Gauchet oraz Eli Barnavi i Saul Friedlander z uniwersytetu w Tel Awiwie. Oczywiście, żaden z tych badaczy nie zamierza kwestionować istnienia obozów śmierci, żaden nie broni niewolnictwa, nie pochwała ksenofobii, antysemityzmu ani rasizmu. Czym innym jest jednak edukacyjna rola przeszłości, czym innym ustawowe przeszłości stanowienie. Prawo, nakładając kary za odstępstwo od przyjętych ustaleń, zmusza do prowadzenia badań, których celem jest potwierdzanie narzuconych z góry tez. Naukowiec staje się dostawcą zamówionego wcześniej towaru. Sygnatariusze petycji opowiedzieli się po stronie wolności, przeciw dyktaturze prawa. Przeciw legislacyjnemu sterowaniu rzeczywistością.

Historia nie jest jednak poletkiem zarezerwowanym wyłącznie dla historyków - koryguje nieco linię adwokat Arno Klarsfeld. "Politycy, czyli parlament, czyli reprezentacja narodu, są w swym prawie, gdy oceniają przeszłość", a "prawa mówiące o wspólnej pamięci są czasem konieczne, gdyż budują jedność narodu, ale też potwierdzają rozmaite tożsamości, których całość tworzy Republikę". Rolę tę odgrywać powinny jednak specjalne rezolucje parlamentarne, a nie ustawy, które z natury mają konsekwencje normatywne...

Francja koryguje teraz swoją politykę historyczną. Jest jednak oczywiste, że debata, jaką wywołała petycja francuskich historyków, ma znaczenie nie tylko dla historyków. I nie tylko dla Francji.

Konieczna afirmacja

W Polsce najwięcej obaw wzbudziło stwierdzenie, że polityka historyczna zakłada afirmatywne podejście do dziejów. Nie widzę w tym zamierzeniu niczego niestosownego, pod warunkiem, że afirmacja nie oznacza przemilczeń czy fałszowania historii. Postulat afirmatywnego stosunku do historii nie jest przejawem ksenofobii, prowincjonalizmu, postaw niemodnych czy niemądrych.

"Nie można należeć do jakiejś cywilizacji, wyrażając wobec niej absolutne obrzydzenie. Nauka docenienia własnych bogactw stanowi ważny element cywilizacji, równie istotny co savoir-faire, co prosta zdolność posługiwania się jej wytworami. (...) Edukacja to z natury rzeczy przedsięwzięcie konserwatywne. Trzeba być konserwatystą w stosunku do nabytych bogactw". Autorem tej diagnozy jest Peter Sloterdijk, niemiecki filozof, którego o tradycjonalizm, ksenofobię czy ciasnotę umysłu podejrzewać trudno. Po latach nurtu kontestującego wartość kultury europejskiej podlicza się straty i próbuje wyważyć racje. Nie bez potknięć i błędów. Francuską opinię publiczną zelektryzowały perypetie ustawy oznaczającej pozytywną rolę Francji w czasie kolonizacji terytoriów zamorskich. Na skutek protestów obrońców praw człowieka problem był rozpatrywany przez Trybunał Konstytucyjny. Kwestia należy do niezmiernie delikatnych. Jak wiadomo, francuski czarny kodeks (1685 r.) uznawał niewolnika za "ruchomość", "majątek ruchomy". Rewolucja zniósła niewolnictwo w koloniach, lecz w roku 1802 Konsulat decyzję tę obalił i niewolnictwo zlikwidowano ostatecznie dopiero w roku

1848.

W tej materii Francja nie może mieć więc czystego sumienia. Zwolennicy (uchylonego) prawa wskazywali na postęp medycyny, likwidację epidemii, zbudowane drogi, ograniczenie śmiercionośnych wojen plemiennych, zbudowane szkoły, alfabetyzację... Powstało na ten temat mnóstwo tekstów, w mediach zawrzało. A gdy temperatura osiągnęła zbyt wysoki poziom, zabrał głos prezydent Chirac: "Wielkość kraju mierzy się zdolnością do przyjęcia odpowiedzialności za całą swą historię, z jej kartami chwalebnymi, ale także ze strefami cienia. Nasza historia jest historią wielkiego narodu. Zobaczmy ją taką, jaką była. W taki właśnie sposób jednoczy się naród". Przecież te zdania są kwintesencją afirmatywnego stosunku do dziejów własnego kraju.

Kompleks polski

Edukacja, także edukacja historyczna, nie jest bytem abstrakcyjnym i nie funkcjonuje w przestrzeni abstrakcyjnej. Musi zawsze odnosić się do rzeczywistości zastanej. Inaczej formułujemy cel edukacyjny wobec laureata olimpiady, inaczej w stosunku do analfabety. Obecnie historyczna świadomość Polaków pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o historię najnowszą. Zaniedbań jest wiele, tak w sferze badań naukowych, jak w sferze szeroko pojętej edukacji. Nie znajdują choćby odpowiedzi na pytanie, dlaczego zrobiono tak niewiele, by udokumentować polskie straty na Wschodzie, póki żyją ostatni świadkowie. Dzisiaj, gdy szkoła jest tylko jednym z wielu pasów transmisyjnych wiedzy, wyobraźnię zbiorową skuteczniej kształtują media elektroniczne, prasa, a przede wszystkim kino. Tymczasem po piętnastu latach wolnej Polski nie mamy przemawiających do szerokiej publiczności filmów mówiących o historii, zwłaszcza tej nieodległej. Ani odgórne nakazy, ani nawet pocziwe apele nie mają sensu. Ale ma sens postawienie pytania o przyczyny tej tajemniczej niechęci, która sprawia, że tematy fascynujące dla innych, nie inspirowały w Polsce ani twórców, ani producentów.

Historię Ireny Sendler odkryły dla świata dopiero w 1999 roku Elizabeth Megan Stewart i Sabrina Coons - licealistki z prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. Dlaczego Polka, która uratowała 2500 żydowskich dzieci (dwukrotnie więcej niż Oscar Schindler), która na torturach gestapo nikogo nie wydała, która straciła dziecko po przesłuchaniach w UB, nie zainspirowała polskiego Spielberga? Trudno zrozumieć, dlaczego w wolnej Polsce nie powstał wielki film ukazujący losy rotmistrza Witolda Pileckiego, żołnierza Piłsudskiego, uczestnika wojny z Rosją Sowiecką i kampanii wrześniowej, oficera AK, który stał się dobrowolnym więźniem Auschwitz, by potem informować świat o zbrodniach, żołnierza powstania warszawskiego, skazanego i straconego po powrocie do Polski w roku 1948. Dlaczego mówienie o bohaterstwie polskich lotników przestało być obciachem dopiero wtedy, gdy wzbudziło podziw Lynne Olson i Stanleya Cloud ("Sprawa honoru")? Wydawniczy sukces książek Anne Applebaum, Bena Weisera, Matthew Parkera czy Richarda Watta ("Gorzka chwała") dowodzi, że historia może być bestsellerem.

W żadnej nacji samoocena nie jest tak niska jak u Polaków. Jak pokazuje zamówiony przez Komisję Europejską raport, żaden inny naród tak źle nie myśli i nie mówi o sobie samym. Żaden nie ma podobnego kompleksu niższości. To cudzoziemcy muszą Polakom udowadniać, że są coś warci. Honoru powstańców warszawskich bronić musiał Anglik, przypominać zasługi polskich lotników Amerykanie, historię Sendlerowej odkryły cudzoziemskie dzieciaki.

Nie jest zadaniem historii leczenie siniaków na polskim ego. W społeczeństwie ludzi wolnych, przy braku cenzury, obawy o jednowymiarowy i tendencyjny przekaz historyczny wydają się anachroniczne. Dziś narzucić wizji historii Polski bezgrzesznej, anielskiej i zawsze niewinnej nie sposób. Ale nie ma też racji bytu czarny obraz Polski podłej, nikczemnej i zbrodniczej.

Sprawdzian demokracji

Zaczerpniętym z języka niemieckiego pojęciem "polityka historyczna" zaczęto posługiwać się w kręgu intelektualistów uznawanych - słusznie lub nie - za prawicowych. Prawica ma zły słuch na język, co być może jest przyczyną wielu jej porażek. Bo określenie "polityka historyczna" kojarzy się w Polsce źle. Głównie ze względu na nieufność do samej polityki postrzeganej jako bezpardonowa walka o wpływy. Następuje bezrefleksyjna reakcja niechęci, odruch Pawłowa wzmacniany doświadczeniem PRL. Wtedy prowadzonej przez komunistyczne państwo manipulacji historią stawiała opór pamięć prywatna. Jednakże opozycja: "prawda pamięci prywatnej" - "fałsz polityki historycznej", nie powinna już być aktualna w państwie demokratycznym. Odzyskanie (lub nie) zaufania do rzetelności publicznego przekazu o historii jest znakomitym sprawdzianem

jakości każdej demokracji.

Choć określenie "polityka historyczna" żyje już własnym życiem, wolałabym mówić o edukacji historycznej. Ten termin nie wyzwała fobii i uprzedzeń. Edukacja historyczna zapowiada nauczanie historii, ale też sugeruje możliwość pedagogicznego związku między teraźniejszością a przeszłością. Historia magistra vitae est nie jest naiwną frazą: wyraża pedagogiczną nadzieję, bez której żadne nauczanie nie ma sensu. W czasach powszechnego narzekania na brak autorytetów historia jawi się jako niewykorzystany rezerwuar wzorów i postaw.

LILIANA SONIK

http://www.rzeczpospolita.pl/dodatki/plus_minus_060311/plus_minus